



Agnieszka Osiecka
w swoim mieszkaniu
na Saskiej Kępie, 1991 r.

SAMOTNOŚĆ I NIESPEŁNIENIE

Znała uczucie bycia na dnie,
ale wiedziała też, że kryzys
to trampolina. Zawierzyła
tej dynamice. Zrywała stare
i czekała na nowe. Ryzykowała

Z Karoliną Felberg-Sendecką,
redaktorką „Dzienników”
Agnieszki Osieckiej, rozmawia
Magdalena Karst-Adamczyk

Ile jest Osieckiej w „Osieckiej”, serialu TVP?

Mało. Ale nie mniej niż zwykle.

Dlaczego była taka nieuchwytna?

Bo była bardzo skryta, choć zdarzały się jej chwile ekshibicjonizmu. Jednocześnie była zwierzęciem stadnym, łaknęła ludzi i potrzebowała ich akceptacji, więc jak wchodziła z kimś w relację, to szukała w sobie takich cech, które ta druga osoba by zaakceptowała. Dopasowywała się. Chodziła do szkoły w czasach, kiedy trzeba było myśleć i zachowywać się regulaminowo – zetempowskie czasy nauczyły ją sztuki mimikry. W szalonym towarzystwie była szalona, pośród milczków milczała.

Przygotowując książkę o Osieckiej, rozmawiałam o niej z kilkudziesięcioma osobami i mogę śmiało powiedzieć, że miałam kilkadziesiąt różnych portretów tej samej osoby. Osiecka jest trudna do opowiedzenia.

Nikt jej nie znał naprawdę?

Nikt nikogo nie zna naprawdę. Z nią było tak samo jak z nami wszystkimi. Inaczej widzi nas mąż, inaczej były mąż, inaczej rodzice, teściowie, o dzieciach nie wspominając.



Studencki Teatr Satyryków. Od lewej: Jarosław Abramow, Zofia Góralczyk, Andrzej Jarecki, Agnieszka Osiecka, Jerzy Markuszewski i Marek Lusztig, 1955 r. Zdjęcie z prawej: Osiecka w Budapeszcie, 1966 r.

Pani, od lat pracując z „Dziennikami” Osieckiej, znajduje się więc w niezwyklej sytuacji, bo tam Osiecka opowiada sama o sobie i tylko dla siebie. Nie musi się kreować, udawać, szukać akceptacji. Bo sama przed sobą chyba była szczera?

Do pewnego momentu prowadziła w dzienniczku codzienne „wielkie rozmowy” z samą sobą. Bardzo wcześnie pojawiła się u niej potrzeba takich rozmów, ale początkowo nie miała do nich partnerów. Była bardzo bystra, więc rówieśników zostawiała daleko w tyle, a z dorosłymi, jak się ma naście lat, nie po drodze. Na studiach dziennikarskich, które okazały się kursem propagandy, również nie miała z kim porozmawiać.

Wszystko się zmieniło, gdy Osiecka weszła głęboko w środowisko STS-u [Studencki Teatr Satyryków, działał od 1954 roku, w ’72 połączony z Teatrem Rozmaitości]. To była druga połowa lat 50. Odtąd nie potrzebowała już tak bardzo dziennika, bo wreszcie miała partnerów do rozmowy. Dyskusje zastąpiły jej prowadzoną w dzienniczku analizę i potrzebę negocjowania swojej pozycji w świecie. Echa tych rozmów pojawiają się zresztą w „Dziennikach”. Jednego dnia pisała: „Dziś wielka rozmowa z Jareckim”. A innego: „Smutno mi, bo to była trudna rozmowa”.

Co pani czuła, kiedy Osiecka w pewnym momencie zaczęła się pani w tych „Dziennikach” wymykać, bo wreszcie znalazła swoich ludzi: partnerów do rozmowy, do twórczości, do życia?

Z jednej strony poczułam ulgę, że już nie musi sama z sobą rozmawiać. Z drugiej – pożałowałam, że pojawiły się te białe plamy. Niby wiem, że nadal boryka się ze światem i z sobą i że rozmawia o tym z innymi, ale nie wiem już, jak przebiegają te rozmowy. Na szczęście są momenty, kiedy wracają bardzo intymne zapiski. Bo ona żyła na dwa sposoby: domowo-społecznie bytowała w Warszawie, a drugie życie, to intymne, zostawiała na czas podróży. Gdy była u siebie, pisała zdawkowo, ale gdy tylko wyjeżdżała – nieważne, czy na chwilę, na wakacje, czy na kilkumiesięczne stypendia – to wracała do wielkich rozmów z samą sobą. Kompulsywnie wręcz zapępiała notatniki zapiskami dziennymi i wspomnieniami. W wielkich monologach celebrowała własne istnienie – z dala od codzienności i powinności lepiej kontaktowała się z sobą samą.

Kilka dni temu skończyłam pracę nad jedną z najważniejszych rozmów, jakie odbyła sama ze sobą. W 1970 roku, przebywając

w Londynie i na Ibizie, napisała fascynujący dziennikopamiętnik – zapiski z podróży i jednocześnie spowiedź z całego życia.

Z kim jeszcze prowadziła tę „wielką rozmowę”? Czasami mam wrażenie, że z Danielem Passentem, a czasem wiem, że z jakimś Piotrem, być może Skrzyneckim. Czasem z Bogiem albo którymś ze zmarłych przyjaciół, bo wtedy, w ’70 roku, ona czuje się wdową po swoim pokoleniu. Nie żyją już ani jej pierwszy mąż Wojciech Frykowski, ani jej niedoszły mąż Marek Hłasko. Nie żyją Kobiela i Cybulski, przyjaciele z Teatru Bim-Bom. Nie żyje Krzysztof Komeda, z którym się przyjaźniła i którego podziwiała jako artystę. Nie żyje też Andrzej Munk – jej mistrz, reżyser ulubionego filmu „Eroica”. Więc ta monumentalna rozmowa jest też rozmową z umarłymi. Ale także z żywymi – z tymi, którzy wyjechali z kraju po Marcu ’68, i z tymi, którzy mimo wszystko zostali.

Pisała tam między innymi, że dwa momenty w jej życiu były kluczowe. Pierwszy to lata 1956-57, czyli odwilż i rozczerwanie odwilży. Drugi to 1970 rok, który dla niej był końcem świata.

A ten koniec świata wynikał z tego, że w tragicznych, wręcz nieprawdopodobnych okolicznościach jeden po drugim ginęli jej przyjaciele, czy z tego, że na ulicach zaczęli ginąć ludzie, bo władza jawnie sięgnęła po przemoc?

Chodziło o jedno i o drugie. Kiedy władza zaczęła strzelać do ludzi, coś w Osieckiej pękło. Odchorowała to.

W pierwszej połowie lat 70. osiadła – związała się z Danielem Passentem, kupili dom w Falenicy, zostali rodzicami. Jak pani opowiada o tym czasie, o załamaniu, rezygnacji, to się układa w logiczną całość i nie wygląda na przypadek. Na tamtym etapie życia ona chyba bardzo potrzebowała tej stabilizacji.

Najpoważniejszy kryzys stał się dla niej największą szansą. Została bez niczego, więc zbudowała wszystko na nowo. Z tej nicości, beznadziei, braku kontroli nad czymkolwiek wyłoniła się piękna istota – Agata. Mogło to się wydarzyć tylko dlatego, że Osiecka w tamtym momencie życia z pewnych rzeczy zrezygnowała, odpuściła jakąś część siebie, przez co dopuściła to, przed czym do tamtej pory się broniła. Stworzyła własny dom. Ale stworzyła go niejako w afekcie.

Czy to nie było tak, że długo broniła się przed stworzeniem własnego domu, bo była tak bardzo związana z rodzicami i domem rodzinnym?



Maryla Ródowicz, Agnieszka Osiecka,
Daniel Passent i mała Agata Passent, 1974 r.

Przed tym falenickim czasem kilka razy wyprowadzała się od matki, by przez chwilę pomieszkać z jakimś mężczyzną. Wprowadziła się do domu Frykowskich. Potem zamieszkała z wielką miłością swojego życia Andrzejem Jareckim [dramaturg, poeta, satyryk, w latach 70. dyrektor Teatru Rozmaitości] w mieszkaniu, które przejęli od zaprzyjaźnionej pary – Czyżewskiej i Skolimowskiego – małżeństwa po przejściach, w trakcie rozpadu. Ale jej związek z Jareckim też się rozpadł. Było jeszcze drugie małżeństwo, z Wojciechem Jesionką [reżyser teatralny]. Te wspólne domy nie trwały długo. Po każdym wracała na Saską Kępę, do matki.

Falenica to był, zdaje się, temat bardzo ważny dla jej ojca. Wiktor Osiecki uważał chyba, że przy matce córka będzie się źle starzeć. Ale Osiecka była wtenczas w szczytowym momencie kariery – rozchwytywana przez radio i telewizję, co roku święciła sukces w Opolu – więc to on zaangażował się w to, by ten dom dla niej wyszykować. A kilka lat później umarł. Osiecka bardzo to przeżyła, bo straciła go niedługo po tym, jak się do siebie zbliżyli, pracując wspólnie.

W Falenicy też się zresztą nie odnalazła. Dała sobie jeszcze jedną szansę – dom na Żoliborzu – ale po różnych perturbacjach wróciła do matki. Agata została z tatą.

Ciekawy jest w życiu Osieckiej ten powtarzający się motyw powrotu na Saską Kępę, do panińskiego pokoju z mamą za ścianą. Czy to się nie działo gdzieś na poziomie podświadomości, że ona ucinając te wszystkie damsko-męskie relacje, by wrócić do domu?

Rozstawiała się z matką często, nierzadko na długie miesiące, np. kiedy wyjeżdżała za granicę, i żadna z nich nie miała z tym większego problemu.

Nie traciła
czujności.
**Wiedziała, że owszem,
teraz jest czas śmiechu,
ale za chwilę życie
wystawi rachunek**

Maria Osiecka miała względnie poukładane życie. Póki jej córka uczyła się – pracowała. Potem przeszła na emeryturę, ale zawsze miała własne pieniądze, rodzinę, przyjaciółki i swój świat na Saskiej Kępie. Cały czas była też przy niej Helena Zaremba, gosposia, właściwie członek rodziny.

Myślę jednak, że po tylu zawodach miłosnych Osiecka potrzebowała kogoś „na stałe” – na dobre i na złe. Poza tym żywiła do matki ten specjalny rodzaj czułości, z którego rodzi się zobowiązanie: do śmierci, w chorobie i w biedzie. Wiele wskazuje na to, że matka była dla niej najbardziej oswojoną osobą – tym, czym była Róża dla Małego Księcia. Agata oczywiście też była bardzo ważna, ale pojawiła się za późno – Osiecka nie potrafiła już pewnych rzeczy zmienić.

A poza wszystkim mała Agnieszka przeżyła z matką coś, czego większość z nas ze swoimi rodzicami nie przeżyło: powstanie warszawskie, tułaczkę, Pruszków, potem kolejne obozy. Domyślam się, że między rodzicem a dzieckiem w podobnej sytuacji rodzi się więź trudna do opisania czy wyobrażenia. Bo czy jest pani w stanie wyobrazić sobie, że spędza z mamą i tatą dwa miesiące w piwnicy, w ciemności i z jednym misiem?

Może więc to Agnieszka nie potrafiła żyć bez matki?

Tak się mówi o tej relacji, ale też dlatego, że Maria Osiecka załatwiała za córkę mnóstwo spraw: prowadziła za nią korespondencję, pilnowała jej kalendarza, dbała o umowy. Radziła sobie z takimi sprawami, jak ZAiKS, ZASP, składki, tantiemy – wszystko to rzeczywiście było na jej głowie.

Spotkałam się z demonizowaniem Marii Osieckiej. Jakby ta matka wisiała nad córką, tłamsiła ją, zabierała jej życiową przestrzeń, pchała w życiowe błędy. Nie wierzę w to. I nie podoba mi się też, jak ją przedstawiono w serialu: jako kanapową histeryczkę,

która jest entuzjastką jednej osoby na świecie, czyli swojej córki. Nie! To, mimo wszystko, była samodzielna, momentami bardzo zabawna kobieta.

A podoba się pani, jak w serialu przedstawiono Osiecką?

Przede wszystkim to nie jest serial o Osieckiej. To nie jest opowieść o kobiecie, ale o PRL-u, o epoce, o perturbacjach społeczno-politycznych. Agnieszka Osiecka jest w nim bardziej pretekstem niż bohaterką.

Może to nie musi być zarzut? Czy jest druga postać w naszym kraju, poprzez którą można opowiedzieć 50 lat polskiej kultury XX wieku?

Ma pani rację, życie Osieckiej z pewnością jest materiałem na taką opowieść. Spróbujmy jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki kształt tej formacji wyłania się z serialu. Moim zdaniem w „Osieckiej” posłużono się historią niezwyklej, utalentowanej kobiety, by opowiedzieć o kilku-kilkunastu mężczyznach, którzy wciąż żyją w zbiorowej wyobraźni i w tym serialu umacniają swoją kluczową pozycję w pewnej epoce.

To prawda. Szczególnie że ci mężczyźni i ich relacje z Osiecką zostały w serialu przerysowane, by nie powiedzieć przekłamane.

One kompletnie nie przystają do faktów. To, co łączyło Osiecką z Hłaską, to był epizodzik. Wiecznie pijany i histeryzujący Hłasko nie był dla niej żadnym partnerem. Osiecka miała wtedy serce rozdarte między dwoma innymi mężczyznami.

Jednym z nich był pewnie poeta Witold Dąbrowski. A drugim?

Stanisław Młynarczyk, też z STS-u. Witek pojawia się w serialu, Stanisław już nie. A prawda jest taka, że ci chłopcy jeździli walcem po jej młodzięcym sercu, wrywali ją sobie, niszczyli. To były relacje absolutnie toksyczne. Ona była nimi psychofizycznie wycieńczona. Żeby od tego odpocząć, biegła na randki, m.in. z Hłaską. Ale nie tylko z nim. Tymczasem w 13-odcinkowym serialu mamy trzy odcinki o Hłasce. A potem jeszcze dwa o Przyborze, choć wtedy, gdy według twórców serialu trwał romans z Przyborą, Osiecka była po uszy zakochana w kimś innym – i nawet wyszła za mąż, o czym w serialu nie ma ani słowa. Wiele ważnych osób scenarzyści wymazali albo zmarginalizowali, jak Jareckiego, bo nie są tak atrakcyjni dla szerszej publiczności jak Przybora czy Hłasko.

Wspomniała pani o Jareckim, uznając go za jedną z największych miłości Osieckiej. Tych dwoje połączyła też wielka przyjaźń, która przetrwała lata. Dlaczego nie wyszło im w miłości?

Jarecki mimo wielu życiowych perypetii miał chyba mocny kręgosłup, a ją wypełniała dziura bez dna – cokolwiek by się tam włożyło, przepadało z kretelem. Takie związki nie mają szans, bo jedno za dużo wkłada, a drugie i tak nie umie w sobie tego zatrzymać. Ale przyjaźń z Jareckim przetrwała lata. Wspierali się. Powiem szczerze, że nawet wzruszyłam się, oglądając odcinek serialu, w którym pokazano tę ich dojrzałą przyjaźń. To im wyszło. **Ma pani wgląd w życie Osieckiej i być może dziś wie o niej więcej niż ktokolwiek. Czy twórcy serialu konsultowali z panią scenariusz?**

Tak, kilka lat temu czytałam pierwszą lub jedną z pierwszych jego wersji. Nie byłam przychylna. Sugerowałam dalsze prace. Irytowało mnie, że kluczem do Osieckiej muszą być ci wszyscy fajni i ważni mężczyźni. Ale przykro mi też było z powodu pozostałych postaci kobiecych. Kobiety w tym serialu śpiewają, plotkują albo piją. Stanowią tło, komunikat o tym, co się wtedy nosiło, gdzie się chodziło, co kupowało. To aberracja. Takie rzeczy to nie są wypadki przy pracy. Biorą się z tego, że ktoś naprawdę myśli w ten sposób.

Ma pani pomysł, jak można to było zrobić lepiej?

Chwilę wcześniej, zanim trafił w moje ręce scenariusz tego serialu, zapoznałam się z inną, dużo lepszą koncepcją. Jej autor koncentrował się na Osieckiej, nie na jej otoczeniu. Chciał opo-

wiedzieć los kobiety, a nie historię PRL-u. Kluczem do Osieckiej było dla niego pewne wydarzenie medialne z 1977 roku. A także jej bliskość z tak niedostępnymi ludźmi jak Seweryn Krajewski. Wydaje mi się, że tamten obraz, gdyby udało się go zrealizować, rzeczywiście opowiedziałby samotność i niespełnienie artystyczne Osieckiej. A w serialu TVP nie ma podobnych niuansów. Tymczasem „samotność” i „niespełnienie” to moim zdaniem dwa najtrafniej opisujące Osiecką słowa. Lepszych naprawdę nie znam.

Ponadto Osiecka była nadwzroczna i nadwrażliwa w odbiorze świata. Współcześnie nazywamy takich ludzi melancholikami. Odbierała świat naskórkowo, czyli wszystko, co się działo na zewnątrz, chłoneła, i na odwrót – to, co się działo w niej, wypuszczała na powierzchnię. Miała w swojej twórczości różne momenty, ale to było zawsze szczere i zgodne z tym, co czuła, co przeżywała, z czym się mierzyła. Bywała chłopacka, zbuntowana, szlajała się po knajpach i to widać w jej twórczości. Ale był też taki okres w jej życiu, kiedy tworzyła wiersze-modlitwy: kojące, poetyckie teksty, z których bije święty spokój i pogoda ducha. Z takich między innymi tekstów Stanisław Soyka ułożył swoją Osieckową płytę. Pełną nadziei, bo Soyka zrobił z tych piosenek wręcz chrześcijańską składankę. Pokazał nieoczywiste oblicze Osieckiej. A ja wiem, że część tych tekstów powstała w bardzo niedobrym dla Osieckiej czasie. To mnie szokuje. I jednocześnie cieszy. Bo to, że człowiek ma w sobie – i w sobie – głęboką ufność, nawet w sytuacji naprawdę fatalnej, świadczy nie tylko o jego sile, ale też o tym, że znalazł już w swoim życiu spełnienia. Od czasu do czasu Osiecka bywała kompletna i umiała z tego poczucia czerpać wiarę w siebie i w swoją przyszłość. Znała ten stan z autopsji i dlatego właśnie tak strasznie przeżywała okresy niespełnienia!

Dużo osób myśli o niej jak o dziewczynie, która miała niesamowity talent, którą los obdarzył nie wiadomo jakimi łaskami, zbiegiem fantastycznych okoliczności, z których połowy nie wykorzystała, a drugą połowę zmarnowała. Też przez jakiś czas sądziłam, że gdyby Osiecka bardziej się postarała, mogłaby więcej i lepiej i mogłaby być szczęśliwa. Ale w końcu zrozumiałam, że ona była tak głęboko refleksyjna i tak bardzo nadwrażliwa, że z jednej strony w najgorszej sytuacji była w stanie dostrzec nadzieję, ale z drugiej – już w karnawale czuła, że zaraz nadejdzie post. Nie dawała się ogłupić, nie traciła czujności. Wiedziała, że owszem, teraz jest czas śmiechu, ale za chwilę życie wystawi rachunek. I na odwrót. I to wrażenie nieuchronności pewnych spraw, ale i wielkich nadziei – apetytu na najzwyklejsze w świecie czereśnie, oczekiwania na zakwitnięcie jabłoni i wiśni – także przebija z jej tekstów.

Myśli pani, że mimo tych wszystkich zawirowań życiowych udawało się jej osiągnąć ten upragniony święty spokój?

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Natomiast myślę, że osiągała go wtedy, kiedy była sama, np. pośród natury albo z przyjaciółką, ale rzadko kiedy go zaznawała w ramionach mężczyzny. Odwrotnie niż w kulturze patriarchalnej mężczyzna był dla niej atrakcją, kobieta – ostoją. Miała temperament, więc lawirowała między tymi figurami, ale kompletnie się w tym gubiła. Sama nie potrafiła być ostoją – z kolei atrakcją, owszem, bywała, ale nie można być dla nikogo atrakcją non stop, prawda?

Napisała kiedyś, że człowiek rozwija się przez zdradę.

Sądzę, że chodziło jej o zdradę samej siebie i był to najczęstszy rodzaj zdrady, jaki w życiu uprawiała. Zawierała ze sobą jakiś pakt, np. że będzie żoną i matką, i sama z sobą w tym pakcie nie wytrzymywała. Więc robiła to przede wszystkim sobie. Inni dostawali rykoszetem i cierpieli, ale ona też cierpiała. To proste i straszne jednocześnie: ta prawda, że jak człowiek krzywdzi samego siebie, to krzywdzi też innych. Albo inaczej: że krzywdę wyrządzoną innym zawsze poprzedza krzywdą wyrządzoną samej/samemu sobie.

Największą jej porażką było to, że w żadnej sytuacji, która ją w życiu spotkała – a niektóre z nich były piękne – nie umiała się rozgościć, rozkosić, pozostać w niej na dłużej. Ale to nie znaczy, że była jednostką wyłącznie auto-destrukcyjną. Owszem, było w niej ciemne źródło. Targały nią popędy. Ale mimo wszystko była człowiekiem wielkiej nadziei i cały czas wierzyła, że czeka na nią coś dobrego. Po strasznym 1957 roku znalazła spokój u boku Jarockiego. Po fatalnym pierwszym małżeństwie zdarzył się jej cudowny moment krakowski – przyjaźń z Bińczyckimi, najszcześniejszy okres w jej życiu. Po strasznym początku lat 70. nagrodą była Agata. Znała uczucie bycia na dnie, ale wiedziała też, że kryzys to trampolina. Zawierzyła tej dynamice. Zrywała stare i czekała na nowe. Ryzykowała. Naraziła się – innych w konsekwencji też, ale to wynikało z szerszych uwarunkowań: urodziła się w świecie, którego kilka lat później już nie było. Jak w takiej sytuacji miała zakładać, że naczelną zasadą świata są stałość, niezmiennosc, odwieczność? Ludzie obdarzeni genem refleksji nie są w stanie przejść nad czymś takim do porządku dziennego.

Na przełomie lat 70. i 80. uwikłała się w relację miłosną, która ją bardzo unieszczęśliwiła i chyba też pozbawiła nadziei. Był młodszy o 20 lat. Dlaczego właśnie tę miłość tak bardzo odchorowała?

Chciała być kochana i szukała adoracji. Może czuła, że to ostatnia szansa, by przeżyć coś wielkiego z mężczyzną? Włożyła ogromny wysiłek w to, żeby ta relacja trwała jak najdłużej. Dlatego porażka stała się taka ważna.

Warto pamiętać też o tym, że Osiecka zdała maturę, jak miała 16 lat, wcześniej poszła na studia. Przez długą część życia była w towarzystwie najmłodsza. W STS-ie, w Maisons-Laffitte, w SPATiF-ie, w Czytelniku... W tych środowiskach młodość była zarówno jej atutem, jak i przekleństwem. Ale przyzwyczaiła się do tej pozycji i względem niej projektowała siły na zamiary. A potem skończyła 45, 50 lat i ten atut utraciła. Obudziła się. Obudzono ją... Myślę więc, że tę miłość należy widzieć nie jako wielką, ale jako straceniczą.

Ta nieszczęśliwa miłość zbiegła się z ponurym czasem dla Polski. Osiecka nie była opozycjonistką, mówiła, że brakuje jej odwagi. Ale podziwiała opozycjonistów. Kiedy Adam Michnik siedział w więzieniu, specjalnie dla niego prowadziła dziennik. Napisała nawet list do Kiszczaka, w którym proponowała wymianę – siebie za Michnika. Ale w czasie stanu wojennego nie przestała publikować, za co część środowiska ją potępiała. Mówi się, że dopiero kiedy napisała piosenkę „Pijmy wino za kolegów”, „winy” zostały jej zapomniane. To jaki tak naprawdę był stosunek Osieckiej do otaczającej rzeczywistości?

Dla niej te sprawy rozstrzygnęły się w latach 50. Już wtedy wyjeżdżała na Zachód, a wszędzie na Zachodzie intelektualiści stanowili lewicę. Z biegiem lat dziwiła się już tylko: co to za dziwny kraj, w którym komuna, czyli to, co na Zachodzie uchodziło za postęp, jest wsteczna, a Kościół – postępowy... Bo przecież w Polsce – paradoksalnie – tak wtedy było.

Osiecka jeździła zarówno do Londynu, który był mieszczański, konserwatywny, i tam miała kontakt ze środowiskiem Andersa, jak i do Francji, do Giedroycia, który był skłócony ze środowiskiem londyńskim. Widziała, że powojenna emigracja ma dwa oblicza i dwa różne

Osiecka potrzebowała kogoś „na stałe” – na dobre i na złe. Taką osobą była dla niej matka

pomysły na Polskę. Mało tego, widziała Francję i Wielką Brytanię utopione w podziałach społecznych. Widziała Stany Zjednoczone zagrożone w chaosie lat 60. Widziała, że podział na równych i równiejszych ma się tam dobrze, że do białych przestępców oddaje się strzały ostrzegawcze, a do czarnych – od razu w plecy. Widziała, że nawet w idealizowanej przez Polaków Ameryce można poczuć się podle, stać się przegrymem. Już wtedy rozumiała to, co inni dopiero po latach zrozumieli – że nie wystarczy obalić komuny, żeby było normalnie. Bo tak

naprawę to nigdzie nie jest normalnie.

Dla niej świat nigdy nie był czarno-biały i dlatego nie potrafiła podjąć pewnych decyzji. Niektórzy zarzucali jej konformizm, ale to była wypadkowa mądrości i wrażliwości. Miała zamęt w głowie, a ten zamęt był jednocześnie luksusem i przekleństwem. Osiecka wstydyła się tego rozkroku, bo lubiła być pozytywnie odbierana, ale z drugiej strony nie miała żadnych złudzeń co do demokracji na wzór amerykański, francuski czy brytyjski. Ona po prostu bardzo wcześnie utraciła wiarę w dobry, sprawiedliwy świat. I to był jej ciężar. Z tego też wynikały jej załamania nerwowe – i to w 1957 roku, i to z początku lat 70.

I z tego rozdarcia, w tej i innych sferach, uciekała w alkohol?

Nie mam lepszego pomysłu, niż znów pokazać Osiecką na tle nas wszystkich. Bo wszyscy czasami znajdujemy się w sytuacjach, które nas przerastają. Czujemy lęk, gniew, zawód, rozpacz, niepewność. Za jej czasów, by to pokonać, można było pójść maniaczko w sport, picie oraz darcie się na współmałżonka. Moje pokolenie do tego zestawu może jeszcze dorzucić sobie pracoholizm, zakupoholizm, natrętne fejsbuczenie. Przy czym Osiecka borykała się z tym, co ją od środka żarło, w sposób widoczny dla innych. W tamtych czasach to, że kobieta idzie do baru, siada z mężczyznami i pije, to była rewolucja – na to też trzeba było umieć się zdobyć. Rzecz jasna jej picie mi nie imponuje, ale też nie potrafię jej skreślić z tego powodu. Osiecka nie radziła sobie, ale przynajmniej nie wyżywała się na innych, nie mściła się. Mogłaby publicznie robić dobrą minę do złej gry, a postępowała odwrotnie: wynosiła się ze swoimi strachami, nerwami, żałami do baru, narażając się przy okazji także na osąd moralny, bo przecież kobiety powinny świecić przykładem...

Co pani w Osieckiej najbardziej ceni?

To, że choć w młodości łamano jej kark pedagogiką wstydu i zetempowskimi praktykami samokrytyki oraz donosu, szybko wyzbyła się pokusy oceniania innych. Sama przez całe życie była oceniana i zawsze bardzo bała się oceny innych, ale nie odpłacała tym samym. Dlatego ta galeria postaci wokół niej, tych, z którymi tworzyła, z którymi mogła się napić wódki, z którymi mogła gdzieś wyjechać, zamieszkać, a nawet wziąć ślub, to była taka menażeria. Ona nie mówiła: och, ten facet ma dziurę w bucie, nie zadajemy się z nim. Nie mówiła: ta kobieta nie umie być dobrą matką, koniec przyjaźni. Nie mówiła: była w ciąży, a nie jest, potępiamy ją. Ona w ogóle tak nie myślała. Ludzie lgnęli do niej nie tylko dlatego, że była wielką artystką, w której blasku można było się ogrzać. Lgnęli, bo dawała im wolność. Imponuje mi to zwłaszcza dziś z uwagi na reaktywację tej z ducha zetempowskiej „powagi” – tego wszechobecnego moralizatorstwa i pedagogiki wstydu. ●



**Karolina
Felberg-Sendecka**

– badaczka literatury, publicystka
kulturalna, edytorka prozy
i wielotomowych „Dzienników” Agnieszki
Osieckiej. Pracuje w Instytucie Adama
Mickiewicza